



**Redakcja
Bardzo Uniwersyteckiego
Czasopisma
życzy Wam
Wesołych Świąt
Bożego Narodzenia!**

BEZPŁATNA GAZETA STUDENTÓW WYDZIAŁU NAUK POLITYCZNYCH I DZIENNIKARSTWA

BARDZO UNIWERSYTECKIE CZASOPISMO

Komercyjne odliczanie do świąt

Jak co roku, gdy ze sklepowych półek znikają znicze (a czasami nawet i wcześniej), pojawiają się świąteczne produkty w masowej ilości. Oprócz ozdób i prezentów, które stanowią podstawę grudniowego szafu zakupowego, w sklepach znaleźć można niemal wszystko z wizerunkiem Świętego Mikołaja. Coraz popularniejsze stają się kalendarze adwentowe, mające umilić oczekiwanie na święta już nie tylko dzieciom.

W dzieciństwie z przyjściem grudnia zaczynało się odliczanie. Bo kto nie czekał na prezenty od Świętego Mikołaja? Urodziny to urodziny, jednak święta Bożego Narodzenia i podarunki od ubranego na czerwono dziadka z długą brodą to coś zupełnie innego. Czas zajmowało ubieranie choinki czy pieczenie i ozdabianie pierników. Oprócz tego z pomocą przychodził kalendarz adwentowy z czekoladkami – codziennie otwierało się to jedno okienko i ze smakiem zjadało czekoladkę, a wcześniej zgadywało się, jaki będzie mieć ona kształt. Wiadomo, byli i tacy, których kalendarze adwentowe znikaly szybciej niż w wyznaczone 24 dni, ale wówczas oczekiwanie na prezenty stawało się jeszcze trudniejsze. Przyszedł moment, kiedy w kalendarzach znaleźć można nie tylko najwyklesze mleczne czekoladki, lecz niemalże wszystko, czego dusza zapagnie.

Pielęgnowanie wewnętrznego dziecka?

„Znajdź codziennie chwilę dla siebie”, „Zrelaksuj się wraz z zawartością okienka”, „Umil sobie oczekiwanie na święta” – przeczytać można w opisach wielu kalendarzy adwentowych. Aktualnie jest ich naprawdę bardzo dużo, z przeróżną zawartością, a ceny wahają się od kilkunastu do nawet kilkuset złotych. Podsumowując – każdy znajdzie coś dla siebie! Bo oprócz standardowych kalendarzy z czekoladkami, są do kupienia takie z herbatą, kawą, skarpetkami czy kosmetykami. Jeśli ma się do wydania jeszcze więcej pieniędzy, można nabyć kalendarz z biżuterią za nawet kilka tysięcy złotych.

Hasła reklamowe przy kalendarzach, które zachęcają do celebrowania każdego dnia, znalezienia chwili dla siebie wyglądają pięknie. Jest to szczytna idea oparta na jednej z podstawowych ludzkich potrzeb – odpoczynku – o którą coraz trudniej w świecie pędzącym szybciej z dnia na dzień. Możemy też dzięki kalendarzom pielęgnować nasze



W niektórych sklepach można kupić puste kalendarze adwentowe, w które można włożyć własne prezenty

wewnętrzne dziecko, eksytując się oczekiwaniem na święta. Pozostaje jednak pytanie, czy kalendarz adwentowy jest do tego niezbędny?

Dla siebie czy na prezent?

Kalendarz adwentowy to taki produkt, który można kupić i dla samego siebie, i na prezent. Pierwsza opcja pięknie odpowiada tej idei opisanej wyżej – zadbania o własne samopoczucie. Z tego właśnie powodu już drugi rok z rzędu kalendarz adwentowy kupuje dla siebie Agata. – Zdecydowałam się na kalendarz adwentowy z kosmetykami. Uwielbiam kosmetyki i taki kalendarz przynosi mi dużo radości, a przy okazji, zamiast kupować pełnowymiarowy produkt, na którym mogę się zawieść, dostaję próbki, które są idealne do testowania. I codziennie dzięki temu mam chwilę dla siebie – mówi.

Z drugiej strony, kalendarze często kupowane są, żeby kogoś obdarować. Prezenty jednak wręcza się i dostaje 6 grudnia w mikołajki oraz 24 grudnia w Wigilię. Okienka w kalendarzach adwentowych zaczynają się od 1 grudnia. Więc to taki przed-prezent, a przynajmniej tak można to nazwać. Zrozumiałe jest, że oprócz rozpieszczania samego siebie, istnieje potrzeba niesienia radości najbliższemu. – W tym roku kalendarze cieszą się naprawdę dużym zainteresowaniem. Nie jest oczywiście tak, że ledwo pojawią się na półce i już znikają, ale ludzie o nie pytają i chętnie kupują, zazwyczaj rodzice dzieciom, starsze rodzeństwo młodszemu lub partner partner-

rowi – mówi Ania, pracująca w jednej z sieciówek odzieżowych oferujących różne rodzaje kalendarzy, zarówno dla dzieci, jak i dla dorosłych. – Z moich tegorocznych obserwacji wynika, że najczęściej kupowany był kalendarz z biżuterią dla dziewczynek. Wydaje mi się, że to taka alternatywa dla kalendarzy ze słodyczami, które sama dostawałam w dzieciństwie – dodaje.

Nietrudno znaleźć potwierdzenie – wystarczy zapytać osoby, które kalendarze kupują. – W tym roku kupiłam mojej młodszej dwięcioletniej siostrze kalendarz z Lego. Oprócz tego, że kalendarze są super, Nadia ma bzika na punkcie odliczania i ogólnie liczenia dni, dlatego to idealny prezent dla niej – przyznaje Nicola. – Rozważam zakup kalendarza z kawą dla mojego chłopaka. Jest wielkim fanem kawy i uważam, że to ciekawa opcja, biorąc pod uwagę fakt, że codziennie będzie mógł otworzyć sobie jedno okienko i skosztować nowego rodzaju czy smaku kawy – mówi Barbara.

Lubimy niespodzianki?

Przyczyny popularności kalendarzy adwentowych na pewno można upatrywać w połączeniu dwóch cech charakteryzujących ludzi – ciągle odliczamy czas, zawsze na coś czekając, a także lubimy niespodzianki (zazwyczaj, a wyjątki oczywiście potwierdzają regułę). Ludzkie życie zasadniczo polega na odliczaniu czasu – do końca lekcji czy pracy, do weekendu i właśnie do świąt. Nie więc dziwnego, że kalendarz adwentowy, który pomaga nam odliczać czas i dodatkowo niesie za sobą tajemnicę, co skrywa każde okienko, jest tak popularny.

Z tą niespodzianką jednak bywa różnie, bo coraz częściej producenci kalendarzy informują, co można znaleźć w poszczególnych okienkach. Czasem są tak mili, że na początku opisu ostrzegają: „Jeżeli chcesz mieć niespodziankę, nie czytaj tego dalej!”. Dodatkowo wiele marek wysyła kalendarze adwentowe do influencerów, którzy przed rozpoczęciem grudnia masowo nagrywają, jak je otwierają, aby pokazać, co jest w środku. Czy nie traci to swojej magii tajemnicy, co skrywa dane okienko? Niektórzy na pewno powiedzą, że dzięki temu nie kupują kota w worku.

Nie tylko dla ludzi

Komercjalizacja kalendarzy adwentowych idzie jeszcze dalej. Bo oprócz kalendarzy dla ludzi, można znaleźć coraz więcej kalendarzy dla pupili – kotów, psów, a nawet

gryzoni. Zawierają one różnego rodzaju przysmaki i gadżety dla zwierzaków. I cieszą się nie mniejszym zainteresowaniem niż te dla ludzi. – Co roku kupuję kalendarz zarówno dla siebie, jak i dla swojego kota, Bogdana. Oczywiście Boguś dostaje kalendarz, który jest przeznaczony dla zwierząt – mówi Aleksandra. Również Natalia była zainteresowana zakupem takiego kalendarza dla swojego psa i kota, ale zwyciężyły względy praktyczne. – Chciałam kupić, bo zwyczajnie urzekły mnie te kalendarze. Dla psa nie kupiłam przez problemy zdrowotne: jest już seniorem, ma coraz mniej zębów i cukrzycę, a dla kota nie kupiłam, bo jest bardzo wybredny i pewnie większości smakołyków by nie zjadł.

To jednak nie do końca prawda, że w sprzedaży są dostępne kalendarze adwentowe nie tylko dla ludzi. Bo kupują je ludzie przez pryzmat własnych potrzeb – skoro ja mogę sobie umilić oczekiwanie na święta, to czemu mój zwierzak też by nie mógł? Pupil może i będzie odczuwać radość ze zjedzenia smakołyku, ale na pewno nie doceni idei odliczania dni do świąt za pomocą kalendarza adwentowego.

Czy tylko adwent?

Warto wspomnieć, że nazwa kalendarz adwentowy pochodzi bezpośrednio od słowa adwent, oznaczającego w liturgii katolickiej oczekiwanie na narodziny Chrystusa. Można uznać, że sama idea kalendarza wywodzi się z zapalania w okresie adwentu codziennie jednej świecy, która przybliża do Bożego Narodzenia. Współcześnie kalendarze adwentowe, sprzedawane tak masowo w sklepach, niewiele mają wspólnego z religią i oczekiwaniem na przyjście Zbawiciela. Nie ma w tym nic złego, bo zarówno osoby wierzące, jak i niewierzące mogą odliczać czas do świąt. Bardziej zastanawiający jest jednak stopień komercjalizacji kalendarzy adwentowych.

Oprócz standardowych kalendarzy liczących 24 okienka, można teraz znaleźć nawet kalendarze po-adwentowe. Zawierają one jedynie 6 okienek, które należy otwierać od 24 grudnia do końca roku. Oczywiście rozwiązują to jeden z wyżej wspomnianych problemów – czy kalendarz adwentowy można dać na prezent w Wigilię? Otóż taki nadaje się świetnie! Pytanie tylko, czy zmierzamy w kierunku kalendarzy adwentowych na każdy miesiąc roku?

Izabela TOMASZEWSKA
izatom4@st.amu.edu.pl

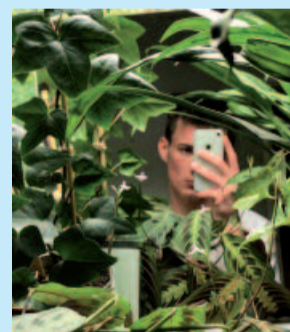


120 BPM
– jak powstał house?
s. 3

Polecamy



Zemsta najlepiej
smakuje powoli
– recenzja „Zabójcy”
s. 5



Roślinna reorganizacja
pokoleń
– wywiad z @kooondrat
s. 6



Polak na drodze do F1
s. 8

Od redakcji

Kochani Czytelnicy!

Grudzień to również czas podsumowań. W BUCu ten świąteczny miesiąc oznacza zmianę na stanowisku redaktora naczelnego. Funkcję tę przekazuję Izabeli Tomaszewskiej i nie mam wątpliwości, że będzie właściwą osobą na właściwym miejscu. Dziękuję wszystkim, z którymi miałam przyjemność współpracować, a przede wszystkim redaktorom BUCa. To Wy tworzyście tę gazetę i mam nadzieję, że z miesiąca na miesiąc będziecie gromadzić coraz więcej czytelników. Powodzenia!



Daria Bajorek

Chciałabym przywitać bardzo serdecznie wszystkich czytelników i redaktorów BUCa! Jestem wdzięczna za zaufanie, jakim obdarzyła mnie Daria i cała redakcja. Postaram się pełnić nową funkcję, najlepiej jak będę umiała, aby BUC stał się coraz lepszy. W tym numerze możecie przeczytać teksty nowych redaktorów, którzy dołączyli do redakcji w listopadowej rekrutacji. Mam nadzieję, że teksty przypadną Wam do gustu. A z okazji zbliżających się świąt Bożego Narodzenia w imieniu całej redakcji chciałabym Wam życzyć dużo spokoju i odpoczynku, wytchnienia od studiów i pracy, a przede wszystkim spędzenia tego czasu w gronie najbliższych. Widzimy się w Nowym Roku – miejmy nadzieję z nową energią i pomysłami!



Redaktor naczelna
Izabela Tomaszewska

Redaktor miesiąca



Filip Szymkowiak

Serwus, mam na imię Filip i niedawno rozpocząłem studia na kierunku Dziennikarstwo i komunikacja społeczna. Pisanie dla BUCa daje mi dużo satysfakcji i uśmiechu. Moją pasją jest sport i w to w tym dziale najczęściej zobaczycie moje teksty. Z przyjemnością podyskutuję o ostatnich wynikach meczów.

Jedną z najpopularniejszych postaci w polityce od czasu wyłonienia nowego składu Sejmu. Jego wypowiedzi stają się wiralem w mediach społecznościowych. Mowa oczywiście o nowo wybranym Marszałku Sejmu – Szymonie Hołowni. Czy wykorzystując swoją popularność myśli już o prezydenturze?

Z listopadowego badania przeprowadzonego przez CBOS wynika, że wśród polityków to właśnie Szymon Hołownia cieszy się największym zaufaniem Polaków (52%), a także największym spadkiem poziomu nieufności (27%). Na drugim miejscu klasyfikuje się Andrzej Duda (51%), a podium zamyka Władysław Kosiniak-Kamysz (48%). „Marszałek Hołownia rozpoczął kampanię prezydencką” – tak brzmi tytuł artykułu Katarzyny Przyborskiej w „Krytyce Politycznej”. Czy nowo wybrany Marszałek Sejmu rzeczywiście rozpoczął już kampanię?

„Obrazić też trzeba umieć”

Co stoi za jego sukcesem? Jak zostało powiedziane w jednym z filmów na kanale „Nie wiem, ale się dowiem!” w serwisie YouTube, Hołowni pomagają umiejętności miękkie, nabyte przez lata pracy, osobowość, dystans i spokój. Łukasz, działający w internecie jako „Człowiek Absurdalny”, dodaje, że polityk wypracował chwyt erystyczne i stosuje je w praktyce, na przykład w potyczkach słownych z Mateuszem Morawieckim.

Dodatkowo za powodzeniem marszałka stoi youtubowy kanał sejmu, który w niedługim czasie z 80 tysięcy subskrypcji „przeskoczył” na ponad 330 tysięcy. Transmisje na żywo zyskują czasem nawet do 100 tysięcy oglądających, a średni wynik oglądalności to 50 tysięcy. W internecie pojawiają się opinie, że w izbie niższej parlamentu powinien znaleźć się srebrny przycisk.

Jaka będzie przyszłość?

Wracając do artykułu „Krytyki Politycznej” – redaktorka Przyborska napisała, że Hołownia cały czas chce korzystać z „czary debiutanta” oraz budować markę „marszałka wszystkich Polaków”. Sam zainteresowany zapowiedział utworzenie podcastów i stanie się bardziej przystępnym dla mediów. Prowadził również Lekcje obywatelskie Marszałka Sejmu dla młodzieży. Odwiedził Białystok i szkołę średnią, do której uczęszczał.

Do czasu powołania nowego rządu Szymon Hołownia był najważniejszą postacią w opozycji, będąc jedyną osobą pełniącą wysokie stanowisko. To on może kojarzyć się ludziom z nową polityczną rzeczywistością i pierwszą symboliczną zmianą (taką jak usunięcie barierki spod budynku Sejmu), jaka zaszła po rządach Prawa i Sprawiedliwości. To na nim skupia się cała uwaga. Prowadzący kanał „Orb” podkreślają, że Hołownia jako Marszałek Sejmu nie jest narażony na różne afery (jak na przykład premier) oraz

Marsz marszałka po prezydenturę



Sejm za rządów Marszałka Hołowni rozwinął się w mediach

ma narzędzia, dzięki którym może kontaktować się ze społeczeństwem (między innymi orędzia, konferencje prasowe).

Małostkowy czy predestynowany?

O potencjalnym starciu Szymona Hołowni w następnych wyborach prezydenckich wypowiadają się również politycy. W telewizyjnym programie Doroty Łosiewicz na kanale wPolisce.pl Piotr Kusznierek, działacz Nowej Lewicy i redaktor „Dziennika Trybuna”, na pytanie prowadzącej dotyczące tego, jak radzi sobie Marszałek Sejmu i czy to będzie dobra „trampolina do prezydentury”, stwierdził: „Bardzo dobra. Myślę, że drugi najważniejszy urząd w państwie jest bardzo ważny. Jeśli wykorzysta ten czas związany z okresem przed startem w wyborach prezydenckich, to może uzyskać niezły wynik”. Partyjny kolega Hołowni, Michał Kobosko, w rozmowie z Polską Agencją Prasową powiedział, że „są duże szanse na start i sukces Marszałka Sejmu. Będzie jeszcze bardziej predestynowany i przygotowany do walki o ten urząd”.

Marek Jakubiak z ruchu Kukiz'15 nie patrzy na Szymona Hołownię pozytywnie. W podcaście Radia Wnet wyraził taką opinię: „Hołownia wykorzystuje funkcję Marszałka Sejmu do prowadzenia kampanii prezydenckiej. Jestem trochę zadowolony. Jak dyrektor władzy ustawodawczej będzie się zajmował You-

tubem, to nie jest to nowoczesność, tylko małostkowość, chęć wykorzystania popularności”.

Polska 2025

Na drodze do prezydentury Szymon Hołownia napotka na dwa duże problemy. Pierwszy – PiS, drugi – wewnątrz opozycji, w osobie Rafała Trzaskowskiego, o którego kandydaturze mówi się, że jest już przesądzona.

Komentatorzy polskiej sceny politycznej zadają pytanie, czy Hołownia mógłby pokonać kandydatów z PO i PiS-u? Jeśli tak, to z kim miałby spotkać się w drugiej turze wyborów? Jeśli byłby to człowiek z bylej większości, czyli obozu Jarosława Kaczyńskiego, nie zniszczyłoby to spójności nowej rządzącej koalicji. Gdyby rywalem marszałka był Trzaskowski, można przypuszczać, że równowaga w dotychczasowej opozycji zostałaby zachwiana, a sama koalicja stanęłaby pod znakiem zapytania. Wszystko zależy od ambicji potencjalnych kandydatów oraz, szczególnie, od woli wyborców. Jednakże spośród wszystkich możliwych startujących na urząd Prezydenta RP to właśnie Szymon Hołownia, jako druga osoba w państwie i osobowość medialna, przez dwa najbliższe lata może wykreować siebie jako przyszłego rezydenta Pałacu Prezydenckiego. Czas pokaże.

Jakub MARCINIAK
jakmar13@st.amu.edu.pl



Wydawca
Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa
Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza
w Poznaniu
ISSN 1642-1140
Redakcja
Wydział Nauk Politycznych
i Dziennikarstwa, ul. Umultowska 89a,
pokój 144, 61-614 Poznań
e-mail: teksty.buc@gmail.com

Redaktor naczelna
Izabela Tomaszewska
Zastępca redaktora naczelnego
Wiktor Kępiński
Sekretarz redakcji
Karolina Hałabisi
Numer makietowała
Izabela Tomaszewska
Wydawca numeru
Izabela Tomaszewska

Redakcja merytoryczna:
Karina Szymczak
Jakub Marciniak
Dominik Janicki
Wiktor Kępiński
PR i Social Media
Karolina Hałabisi
Dominik Janicki
Karina Szymczak
Hanna Yankouskaya

Korekta
Daria Bajorek
Paulina Cichoszewska,
Wiktoria Duda
Izabela Tomaszewska
Redakcja
Daria Bajorek
Natalia Borodkina
Bartosz Chałupka

Benita Dolniak
Karolina Golaszewska
Weronika Grochalska
Karolina Hałabisi
Dominik Janicki
Dominika Jerzak
Bartosz Kabaciński
Mateusz Kalmuk
Wiktor Kępiński

Bartłomiej Kolano
Wiktoria Konieczna
Michał Kubisiak
Kamil Kwiatkowski
Agnieszka Łukaszewska
Magdalena Maciejewska
Bartosz Maluśki
Agata Mania
Jakub Marciniak

Mateusz Markiewicz
Olga Michalska
Aleksandra Mierzwa
Amelia Ogrodowczyk
Michał Rzeźnik
Wiktoria Sianko
Milena Spiralska
Vera Sudnik
Emilia Szokobodzińska

Karina Szymczak
Filip Szymkowiak
Emilia Świtalska
Izabela Tomaszewska
Anastasiya Trafimuk
Jędrzej Wróblewski
Michał Wybrański
Autor logo
Andrzej Szymczak

Opieka nad redakcją
Aleksandra Konieczna
Skład komputerowy
Tomasz Szukała
Druk
Drukarnia w Bydgoszczy
ul. Grunwaldzka 229
85-438 Bydgoszcz
Redakcja zastrzega sobie prawo
do redagowania i skracania
nadesłanych tekstów.

11 listopada jest dla mieszkańców Europy datą szczególną. Dokładnie sto pięć lat temu zakończył się jeden z najbrutalniejszych konfliktów w dziejach świata. Jest to właściwy moment do refleksji nad historią, okazja do spędzenia czasu z bliskimi... albo idealny dzień na koncert.

Soundedit to impreza honorująca pracę producentów muzycznych i realizatorów dźwięku. Tego roku, między 11 a 14 listopada, miała miejsce piętnasta odsłona festiwalu. Wydarzenie to jednak nie tylko oddaje hołd tym, którzy zajmują się tworzeniem muzyki od kuchni. Jest bowiem także okazją do zaproszenia nietuzinkowych gości. Tym razem do Łodzi przyjechał rockowy gigant, który bezapelacyjnie może wymagać tego, by określano go mianem „legendarnego” lub „kultowego”. Przedstawić go nie trzeba żadnemu miłośnikowi ciężkich, gotyckich brzmień. Sisters of Mercy to marka sama w sobie. Ale czy tak samo ma się rzecz z tandemem, który poprzedził występ?

The Virginmarys

Rola supportu bywa marginalizowana. Oto pojawia się wykonawca, który nie przyciąga widowni tak jak artysta, który ma po nim wejść na scenę. Należy przy tym zastanowić się, czy to znaczy, że jest w niższej lidze? Absolutnie nie. Wyraz profesjonalizmu i obycia, którego może pozazdrościć niejedna gwiazda dał duet – The Virginmarys.

Ich pojawienie się na scenie nie było zaplanowane od początku. Pانونie zmodyfikowali przebieg swojego tournée po kontynencie i zawrócili na trasie do Wiednia. Na początku organizatorzy zaprosili Blię Bargelda (mogącego poszczycić się prawie dwudziestoletnią współpracą z zespołem Nick Cave and the Bad Seeds), który nie pojawił się z powodu komplikacji zdrowotnych jednego z członków swojej ekipy.

Pomimo stosunkowo niskiej znajomości repertuaru wśród publiki, The Virginmarys zostali przyjęci bardzo życzliwie. Owacje pojawiały się po każdym kawalku. Enigmatyczne nazwy kolejnych utworów nie tworzyły żadnej przeszkody. Granie przypominające dokonania grupy Royal Blood z bardziej alternatywnym zacięciem padło na podatny grunt. Obie formacje mogą zresztą poszczycić się skromnym składem, który posiada znaczne możliwości. Był to pierwszy występ kapeli w naszym kraju.

Bez krzty litości



Andrew Eldritch w trakcie występu

Wyspiarski klimat

Surowość krajobrazu północy. Mistyczne morze mgieł. Celtyckie opowieści sprzed wieków. Nieubłagany, anegdotyczny deszcz i przymysł koncentrujący się w miastach od dziewiętnastego stulecia. Chyba niemożliwe jest niepoddanie się kontemplacji takiej rzeczywistości. Srogość elektryzuje i inspiruje. Można to zobaczyć, co więcej, można to usłyszeć u Sisters of Mercy.

Niezależnie od dziedziny w jakiej się działa, przez ponad cztery dekady można nabrać wiele doświadczenia. Szczególnie, gdy swoją aktywność opiera się na wykonywaniu materiału na żywo. To właśnie filozofia Sisters of Mercy. Zespół nagrał i wydał w całej swojej karierze zaledwie trzy albumy studyjne. Nie pokwapił się dodatkowo na wypuszczanie kompilacji utworów rejestrowanych podczas występów. Wyraz odwagi? A może przejaw nonkonformizmu? Niezależnie od pobudek, jest to niewątpliwie niepopularna praktyka w świecie show-biznesu.

Ciemność, krzątania i powoli napływająca sztuczna mgła. Brakowało tylko mżawki, by poczuć mrok przywieziony do Polski prosto z

Leeds. Narastający niepokój rozdarty został przez ryknięcie wydobywające się ze wzmacniaczy.

Kapitan wraz z załogą

Poruszenie przetoczyło się pośród widowni, która miała okazję obejrzeć jedyną osobę wchodzącą w skład pierwotnego składu formacji. Wokalista, pisarz tekstów, lider – Andrew Eldritch, człowiek stojący za sterem od 1980 roku. Słyszany z niskiej, posępnej, głębokiej barwy głosu. Niehamujący się, gdy chodzi o poruszanie społeczno-politycznych wątków w pisanych tekstach. Nieustannie dostarczający wrażeń, które zostają z fanami na całe lata.

Oprócz szarpającego struny Bena Christo i Kai, która od tego roku również występuje z gitarą, należy mówić o obecności jeszcze jednego... członka? Bowiem gdzieś w tle, na niewielkim podwyższeniu przykrytym siatką maskującą, znalazł się Doktor Avalanche. Pozbawiony świadomości automat perkusyjny, którego zimne, industrialne brzmienie znane jest wszystkim miłośnikom ciężkiego grania. Nad jego niestrudzoną pracą czuwał nieznan z imienia mężczyzna.

„Two worlds and in between”

Gra światła, znane uszom sekwencje dźwięków, frazy poszczególnych utworów wryte w pamięci. Burza jaka przeszła tego wieczora nad łódzką sceną zostanie z obecnymi tamtego dnia fanami po wsze czasy. Wigor i gorąc buchający ze sceny wyparły na dobre poczucie niepewności i niepokoju, które można było usłyszeć zaraz po występie. „To mój trzeci koncert Sisters of Mercy i bałam się, że znowu nie usłyszę wokalu albo, że nie zobaczę nawet Andrew na scenie” – tak przedstawiła swoje obawy jedna z uczestniczek wydarzenia zaraz po koncercie.

Okazały się zupełnie niesłuszne. Nieprzerwanie od początku przez tłum ludzi przelewała się fala podniecenia i ekscytacji. Owacje, okrzyki oraz gesty wdzięczności i sympatii wyrastały spontanicznie w różnych momentach trwającego show. Należy mieć nadzieję, że fabryczny charakter Łodzi, uzupełniający brzmienie zespołu, przypadł do gustu muzykom i być może zdecydują się za jakiś czas odwiedzić Polskę ponownie.

Jędrzej WRÓBLEWSKI
jedwro1@st.amu.edu.pl

120 BPM – jak powstał house?

Jest 12 lipca 1979 roku. Na stadionie Comiskey Park w Chicago właśnie trwa przerwa w meczu baseballowym między drużynami Detroit Tigers a Chicago White Sox. Na boisku pojawia się postać w mundurze, która omija kolejne winyle porzucane przez publiczność, skandującą hasło „Disco jest do bani!”. Po wygłoszeniu kilku słów domniemany wojskowy odpala ładunek wybuchowy, ukryty w pudle z kolejnymi płytami. Następuje eksplozja – choć nikt nie zdaje sobie z tego sprawy, właśnie rozpoczyna się kolejny etap w historii muzyki tanecznej.

Wydarzenie to, znane jako „Disco Demolition Night”, miało być finalnym gwoździem do trumny muzyki disco. Gatunek ten definiował brzmienie klubowych parkietów, a później też radiowych odbiorników w latach 70. Choć w odbiorze masowym radził sobie bardzo dobrze, nie brakowało jego zagorzałych przeciwników – a najlepszy w tej dziedzinie byli zdecydowanie fani muzyki rockowej. Zresztą trudno im się dziwić. Komercyjne sukcesy disco przyniosły spore straty finansowe ich ulubionym wykonawcom. Dlatego 12 lipca miał być dniem wyzwolenia, a umundurowanym wodzem był dziennikarz muzyczny Steve Dahl.

Disco wraca do podziemia

Osobista vendetta Dahla przeciw muzyce disco nie była żadnym sekretem, ale kiedy rok wcześniej został zwolniony ze swojej stacji (która zamieniła progresywny rock na zniechęcony przez niego gatunek), jego nienawiść sięgnęła zenitu. W nowej już audycji sukcesywnie realizował agendę, która skończyła się wysadzeniem w powietrze tysięcy płyt. Cel został osiągnięty – odbiorcy zwrócili się ku innym brzmieniom, a disco na długo stało się synonimem kiczu.

Wyklęta muzyka musiała więc powrócić do swoich korzeni. Znajdowały się one w klubach podziemia, które były bezpieczną przestrzenią dla Afroamerykanów, Latynosów i mniejszości seksualnych. To właśnie tam, niecałą dekadę wcześniej, utworzona została społeczność, która przynajmniej na chwilę mogła zapomnieć o wszechobecnej dyskryminacji i próbach wpisania się w amerykański status quo. Teraz DJ-e rezydujący w Chicago i Nowym Jorku stanęli przed nowym wyzwaniem, jakim było utrzymanie ludzi na parkietach.



Na przestrzeni lat muzyka house stała się globalnym fenomenem

Czas eksperymentowania

Transformację muzyki disco w znany współcześnie house przypisuje się wielu osobom, ale za jednych z najbardziej wpływowych producentów uważa się Frankiego Knuckles i Larry'ego Levana. W rozmowie z NPR Knuckles wspominał: „Jechałem autem z moim kumplem do jego domu na South Side i zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle. Na rogu ulicy znajdowała się knajpa, na której powieszono znak «Gramy muzykę house». Nigdy wcześniej o tym nie słyszałem”. Muzyk był świeżo po przeprowadzce z Nowego Jorku i grał w nowopowstałym w Chicago klubie „The Warehouse”. W tym czasie często łączył ze sobą różne elementy zapożyczone z disco, funku i niemieckiego elektronicznego popu. Ku jego zdziwieniu, jak wyjaśnił jego przyjaciel, muzyka house okazała się dokładnie tym, co miksował na każdej imprezie.

Na początku producenci musieli wykazać się sporą dozą kreatywności. Czasem nie posiadali nawet podstawowego sprzętu w postaci miksera i słuchawek. Frankie wykorzystywał magnetofon szpulowy – zmieniał tempo, przestawiał poszczególne partie piosenek, dodawał dźwięk perkusji. Z czasem jednak na rynku pojawiły się różnego rodzaju syntezatory, samplery i urządzenia do wytwarzania dźwięków perkusji. To właśnie wtedy house nabrał charakterystycznego brzmie-

nia w tempie około 120 uderzeń na minutę. Elektroniczna scena muzyczna, tak samo jak świat, zrobiła kolejny krok do przodu.

Wyjście z cienia

Kultura klubowa, do tej pory zarezerwowana jedynie dla wąskiego grona, zaczęła wychodzić na światło dzienne. House można było usłyszeć nie tylko w Chicago i Nowym Jorku, ale również w Detroit, New Jersey oraz za oceanem, głównie w Wielkiej Brytanii. Producenci bawili się dźwiękiem i tworzyli kolejne podgatunki – deep house czy acid house z charakterystyczną żółtą buźką oraz zamiłowaniem do psychodelików stały się nieodłączną częścią weekendowych wypadów na imprezę.

Muzyka wyszła również poza parkiety. Lokalne stacje radiowe zaczęły grać wybrane kawalki, a wytwórnie muzyczne skupiały się na wydawaniu muzyki, która pobudzała ludzi do tańca. Jakis czas później, już w latach 90., funkcjonowały wytwórnie specjalnie dedykowane house'owi i jego podgatunkom, jak Movin' Records, Nite Grooves i wiele innych. Brzmienia te można było usłyszeć też w muzyce głównego nurtu – nie uchroniła się przed tym nawet twórczość królowej popu, Madonny.

Powrót na salony

Ostatnia dekada XX wieku przyniosła chwilowy przestój w rozwoju zainteresowania muzyką house. Branża rozrywkowa stała się niezwykle konkurencyjna – słuchacze byli rozdarci między popem z Michaellem Jacksonem na czele i świeżo odkrytym w Seattle grunge, wylanowanym przez m.in. legendarną Nirvanę. Na szczęście tendencja spadkowa nie utrzymała się długo – ostatnie lata przed wejściem w nowe millenium przyniosły nową falę ikon progresywnego house'a w postaci Daft Punk czy House of 909. Rodzina podgatunków zaczęła się powiększać o coraz to różniejsze warianty, jak techno, EDM i dziesiątki innych.

Berlin i Ibiza stały się kolejnymi kluczowymi lokalizacjami na mapie elektronicznej muzyki tanecznej. To wręcz synonimy niezapomnianych imprez. Zaczęły powstawać dedykowane im festiwale, obecnie zrzeszające miliony fanów z całego świata. Od tamtej pory house już na stałe wniknął w strukturę mainstreamu – minioną dekadę została zdominowana przez takie nazwiska jak Calvin Harris, Avicii czy Tiësto. Muzycy purzyści być może zarzucą mi tutaj kompletną nieznaną gatunku. Nie da się ukryć, że bez eksperymentów w latach 80. być może nigdy nie byłoby nam dane obserwować dalszego rozwoju muzyki elektronicznej. A patrząc na to, jak mocno zakorzeniła się w kulturze popularnej, najprawdopodobniej zostanie z nami jeszcze na długi czas.

Karolina HAŁABIŚ
karhal2@st.amu.edu.pl

Powrotne symetrie odwrotów

Horyzontem jest jedynie klaustrofobiczny fort z marmuru. Prócz niego widz może swój wzrok zatopić w hipnotyzującym nagraniu morskich fal. Onirycznie przedstawiony Cypr, będący miejscem akcji dramatu oraz jego operowej interpretacji, na deskach sceny poznańskiej opery jest ruchomym labiryntem grubych wież i kolumn oraz słów, wśród których traci rezon tytułowy bohater tragiczny.

Mowa o spektaklu „Otello”.

Po okresie pandemii nastąpił w końcu czas powrotu na deski teatru. Sezon 2023/24 określany mianem „powrotów” w Teatrze Wielkim w Poznaniu zaskakuje widzów aż pięcioma premierami. Drugą z nich – po baśniowym balacie „Królowa śniegu” – jest reinterpretacja szekspirowskiego „Otella”. Przyjrzyjmy się zatem, o czym opowiada opera i jak wykorzystuje tekst wielkiego dramaturga.

„Prowadzi Cię Twój demon”

Dziela Szekspira niezaprzeczalnie stanowią wyjątkowe źródła portretów psychologicznych oraz odzwierciedleń pewnych archetypów osobowych. Reżyser premierowego spektaklu, David Pountney, uwzględnił ową wyrazistość dusz w operze. Udało się to nawet mimo przeniesienia jej do czasów bliższych obecnym, niż współczesnych Szekspirowi czy twórcy pierwotnego libretta, Arriga Boita. Bohaterzy są tu bowiem mundurowymi, których stroje oraz rekwizyty implikują przekonanie, że jesteśmy znacznie dalej na osi chronologicznej niżli w czasach szekspirowskich. Jednakże, co ciekawe, przybycie posłańca z Wenecji w stroju wręcz monarszym burzy owo przekonanie i sprawia, że kostiumowa przeplatanka uwypukla jedynie ponadczasowość przesłania. Akcja toczy się po wielkim sukcesie strategicznym Otella, który dopiero co ożenił się z Desde-

moną. Opowiada o tym, jak zazdrość i pragnienia władzy oraz kontroli mogą doprowadzić do destrukcji ludzkiej duszy i relacji. To zniszczenie idzie nawet o krok dalej, wpływając na całą społeczność, która jest w istocie symfonią istnień intensywnie na siebie oddziałujących.

Akcja rozpoczyna się, gdy po wygranej bitwie, spośród towarzyszy broni, awans zostaje przyznany jedynie młodemu Cassiowi. Zazdrosny o ów sukces Jago, przyjaciel Otella, knuje intrygę, aby zemścić się na „umiłowanym Panu” – jak sam zresztą nazywa dowódcę. Żołnierz niecnymi sposobami doprowadza do degradacji nowego kapitana po to, aby skierował się on do Desdemony po stawiennictwo przed dowódcą. Wówczas zasiewa w Otellu wątpliwość dotyczącą genezy gorliwych próśb jego żony o przywrócenie do łask Cassia. Igrając z dumą oraz wielką nieufnością swego druha, Jago doprowadza do stanu, w którym oszalały z wściekłości Otello, zamiast ufać niewinności ukochanej, popada w szaleństwo i pragnie zemsty.

„Bo tak każe mi los”

Zarys zamiarów i wartości bohaterów wydaje się dość jasno nie tylko sprecyzowany, ale doskonale wypiewany. Słyszymy o pewności i nieustrudzeniu adorowanego Otella, rozwiązyłem, acz pracowitym sposobie egzystowania Cassio czy anielskiej dobroci i czystości Desdemony. Jago od pierwszego aktu nie kryje się za to ze świadomością nieczności własnych zamiarów. Dowiadujemy się, że spostrzega on „pierwotne błoto”, którym skażone są jego czyny. Mimo skrupulatnie zaplanowanej drogi do celu, jako genezę swego postępowania wskazuje... fatum! Na myśl wręcz samoistnie mogą przychodzić inne utwory Szekspira, na przykład „Makbet”, gdzie rola antycznego losu i jego nieuchronności uzasadnia wszelki tragizm, po zaznaniu którego oczekuje się oczyszczającego katharsis. Gra konwencjami intensyfikuje się wraz z tym wyznaniem czarnego charakteru. Adekwatnie do swej mrocznej duszy przy-



Wygra miłość czy zazdrość?

wdziany jest on głównie w czarny, skórzany mundur. Antyczne normy i zwyczaje teatralne łączą się z nowatorską, ruchomą scenografią czy pijącymi piwo mundurowymi.

„Posłuchaj mowy miłości”

Odgrywający się pośród nieskazitelności marmurowego labiryntu dramat może rezonować z wieloma osobami. Na scenie z pełną wyrazistością ukazane są dialogi pomiędzy młodymi małżonkami, zmagającymi się z problemem (nie)wątpliwej wierności jednego z nich. Dialogi, w trakcie których intencje oraz stan ducha wyeksponowane są także doskonałą grą światłem (w którym drży przerażona zachowaniami męża Desdemona) i cieniem (w którym impulsywnie gestykuje Otello),

przedstawiają trudy komunikacji z kółkami zazdrości i niepewności. Prócz poetyckiego słowa Szekspira, urzeka także gra aktorska. Ruch, mimika i gesty śpiewaków operowych mogą wręcz wydawać się autentyczne i znajome. Wśród zagęszczającej się atmosfery, wraz z którą – co warte uwagi i obserwacji – zagęszcza się liczba ścian i wież w scenografii, można dostrzec wręcz baśniową walkę dobra ze złem. Podkreślone jest to doskonale w jednej z arii: „miłość i zazdrość niech pójdą razem w zatarte”. To też się wydarzyło, a efekt owego starcia w swej tragiczności stanowi niezwykle cenne źródło mądrości dla odbiorców.

„Nie potrafię uciec od samego siebie”

Jakie są zatem wnioski, które można wysnuć z przeżycia otellowego oczyszczenia? Najistotniejszym wydaje się krytyka prymu zazdrości i niepewności nad dialogiem oraz rozmową w relacji. W spektaklu odczuwa się wręcz wydzwięk antyprzemocowy, bowiem uprzedzić należy, że pojawiają się sceny subtelnie odegranych aktów przemocy ze strony wściekłego męża wobec załknionej, oskarżanej małżonki. Szekspir trafnie określa sposób myślenia Otella jako „niski”. Uznaje on, że przypuszczenie zdrady jest czymś gorszym niż nędza, hańba czy społeczne potępienie, ignorując w zupełności wypowiedzi swojej żony. Doskonale portrety psychologiczne, zawarte we wspaniale odśpiewanych ariach, przypominają o tym, że należy pozostać nieskalanym moralnie w swych relacjach i myślach. Zwłaszcza w momencie wspinania się po szczeblach społecznych i zawodowych.

„Otello” jest zdecydowanie spektaklem wartym nie tylko zobaczenia, ale przeżycia: piękno słowa, pieśni, gry oraz scenografii zabiera bowiem widza w podróż w głąb ludzkich pragnień i lęków. Pozwala na rozważenie własnego stosunku do zazdrości, władzy i dialogu w relacjach – a wszystko wykonane jest przez wyśmienitych artystów Teatru Wielkiego, których niewątpliwie trzeba usłyszeć!

Karolina GOŁASZEWSKA
kargol7@st.amu.edu.pl

Śnieg ląduje na szczycie

Czy można polubić i zrozumieć człowieka, który na rękach ma krew niewinnych osób, głównie dzieci? Mowa o prezydencie Snowie, tak zniechęconym przez wielu bohaterze „Igrzysk śmierci”. W najnowszej ekranizacji prequela historii zobaczyć można młodość Coriolanusa. Czy „Ballada ptaków i węży” zmienia postrzeganie tego bohatera?

„Ballada ptaków i węży” to kolejny film z serii „Igrzyska śmierci” w reżyserii Francis Lawrence’a. Produkcja jest ekranizacją książki o tym samym tytule autorstwa Suzanne Collins. Powieść, będąca prequelem, została wydana w 2020 roku. Ukazuje państwo Panem w czasie 10. Głodowych Igrzysk.

Film przedstawia historię osiemnastoletniego Coriolanusa Snowa (Tom Blyth), który mieszka w Kapitolu wraz ze swoją niewiele starszą kuzynką Tigris (Hunter Schafer) oraz ich babcią (Fionnula Flanagan). Z pozoru bogata rodzina utraciła swój majątek lata temu i obecnie żyje z niewielkiej pensji Tigris. Coriolanus desperacko próbuje utrzymać fasadę właściciela ogromnej rodzinnej fortuny, jednak tak naprawdę liczy, że uda mu się zdobyć oferowane przez dziekana Highbottoma (Peter Dinklage) stypendium, aby móc iść na studia.

Kiedy przychodzi czas ogłoszenia laureata, okazuje się, że nominowani studenci mają przed sobą

jeszcze jedno zadanie – zostać mentorem przydzielonego im trybuna w 10. Głodowych Igrzyskach. Stypendium otrzyma uczeń, którego podopieczny wygra. Ten pomysł to desperackie posunięcie ze strony Kapitolu, gdyż odnotowano coraz mniejsze zainteresowanie igrzyskami, co mija się z celem ich powstania. Coriolanus z początku nie widzi nadziei na wygraną, ponieważ przydzielono mu trybuna z 12. dystryktu – Lucy Gray Baird (Rachel Zegler), członkinię trupy utrzymującej się z występów. Nie jest więc ona urodzonym wojownikiem, jednak Snow dostrzega w niej coś, co może pomóc im wygrać Igrzyska. Charakter dziewczyny oraz talent w oczach Coriolanusa stają się również narzędziem do zwiększenia atrakcyjności wydarzenia.

Tom Blyth oraz Rachel Zegler stanęli na wysokości zadania i aktorsko nie można mieć im nic do zarzucenia. Jednak nie tylko oni zasługują na uznanie, bo casting wszystkich postaci przeprowadzono bezbłędnie.

Spójność cyklu

Niewątpliwie film jest wierną ekranizacją książki. Scenarzyści Michael Lesslie i Michael Arndt znakomicie sprostali postawionemu przed nimi wyzwaniu. W przypadku reżyserii do pracy powrócił Francis Lawrence, który odpowiedzialny był również za trzy z czterech produkcji z oryginalnej serii. Wyreżyserował on „W pierścieniu ognia”, „Kosogłos. Część 1” oraz „Kosogłos. Część



Plakat filmu

2”. Powrót reżysera przy tworzeniu kolejnego filmu był strzałem w dziesiątkę, ponieważ dzięki temu czuć, że „Ballada ptaków i węży” przynależy do całego cyklu.

Nie tylko reżyseria, ale również muzyka sprawia, że wszystkie filmy są ze sobą spójne, a to za sprawą powrotu Jamesa Newtona Howarda, który pracował nad ścieżką dźwiękową przy poprzednich częściach serii. Nowe motywy muzyczne przeplatane

są z tymi, które już znamy, co wywołuje pewnego rodzaju nostalgię, ponieważ ostatnią produkcję w kinach oglądać mogliśmy aż osiem lat temu.

Zdjęcia do filmu odbywały się w dużej części w Europie, w tym także w Polsce. Sceny wewnątrz areny kręcone były w Hali Stulecia we Wrocławiu. Niektóre ujęcia z 12. dystryktu również zostały zrobione w Polsce, a dokładniej nad zalewem w Grzędach.

Więcej filmów z serii?

Francis Lawrence w programie „Watch What Happens Live” zapytany o pracę nad poprzednimi produkcjami z serii przyznał, że żałuje podzielenia „Kosogłosu” na dwie części, jednak nie miał na to wpływu, ponieważ daty premier filmowych zostały już ustalone, zanim dołączył do projektu. Zapytany również o to, czy po ostatnim filmie w 2015 roku nie myślał może o rozwinięciu serii o kolejne, stwierdził, że decyzja o poszerzeniu uniwersum nie należy do niego, ale do autorki książek Suzanne Collins. Powiedział, że jedyną możliwością pracy nad nowym filmem byłaby sytuacja, w której pisarka przysłałaby do niego z nowym materiałem do ekranizacji.

Film jest zadowalającym powrotem do wykreowanego przez Suzanne Collins świata. Ukazanie znanego nam z oryginalnej trylogii, zimnego i strategicznego prezydenta Panem w czasach jego młodości rozwija tę postać w ciekawym kierunku. Zdecydowanie warto wybrać się do kina, aby przekonać się o tym na własnej skórze.

Magdalena MACIEJEWSKA
magma10@st.amu.edu.pl

Zemsta najlepiej smakuje powoli

Z każdą kolejną klatką „Zabójcy” – najnowszego filmu Davida Finchera – miałem narastające wrażenie, że nie jest to produkcja dla naszych czasów. I nie mam zamiaru zasiać w was nihilizmu, którym emanuje tytułowy bohater przez większość czasu w filmie. Natomiast czas ten nie został wypełniony pościgami, licznymi strzelaninami i wybuchami, z jakimi kojarzy nam się współczesne kino akcji. A mimo to, przy odpowiednim podejściu, wciąga w wir wydarzeń i nie wypuszcza z niego aż do rozwiązania.

Nie dziwią mnie jednak komentarze zarzucające „Zabójcy” nudę i marazm. Szczególnie biorąc pod uwagę fakt, że film został wrzucony na Netflixu niemal równo z premierą kinową. Niektórzy po takim tytule i opisie oczekiwali kolejnego akcyjnego blockbustera – takiego na zabicie czasu, może do puszczenia w tle i przerzucania TikToka w tym samym czasie. Z takimi oczekiwaniami na pewno spotkało ich rozczarowanie.

Jak w zegarku

Już od pierwszych chwil, gdy spotykamy Zabójcę przygotowującego się do swojej następnej rutynowej misji w wynajętym mieszkaniu gdzieś w centrum Paryża, spodziewamy się, że narracja będzie szła w parze z etosem pracy głównego bohatera. Czyli rutynowego, metodycznego, niekiedy nużącego oczekiwania, podszytego maniackalnym perfekcjonizmem. Kiedy jednak drobne potknięcie, odstępstwo od starannie ułożonego planu, wyraca sytuację o 180 stopni, wtedy perfekcjonizm musi ustąpić improwizacji. Na-

wet jeśli Zabójca nie może przyjąć tego do wiadomości.

Michael Fassbender w tytułowej roli oddaje te emocje w fantastyczny sposób. Nie da się zresztą ukryć, że cały ten obraz jest teatrem jednego aktora. Bo choć na krótkie momenty pojawiają się inne osoby, chociażby Tilda Swinton i Charles Parnell, i swoje epizody odgrywają doskonale, to jednak ciężar aktorski spoczywa na Fassbenderze, z którym jesteśmy non stop przez całe dwie godziny filmu. Jarzmo to uniósł celująco, jednocześnie zaznaczając swój powrót do kin po czterech latach rozbratu. Tęskniliśmy.

Noir i... słońce

Chociaż Zabójca jest tak naprawdę jedynym bohaterem akcji, to śmiało na drugim miejscu postawić możemy przedstawiony świat. Brakowało w ostatnim czasie brudnego, ociekającego mrokiem kina noir. Fincher potrafi zgrabnie poruszać się w tych rewirach, co udowadnia także tutaj. Co więcej, film szykuje dla nas niemalą podróż, i to całkiem różnorodną. Szczególne wrażenie robią skąpane w ciemnościach nocne sekwencje w Paryżu i na Florydzie, ale ciekawym urozmaicheniem są również sceny w słonecznej Dominikanie czy nowojorskie godziny szczytu. Duży ukłon w stronę Erika Messerschmidta za świetne zdjęcia w każdej z tych lokacji.

Szkoda tylko, że sama introdukcja świata została poprowadzona na łatwiznę. Wewnętrzny głos Zabójcy w postaci narratora z offu nie daje nam spokoju przez pierwsze kilkanaście minut, gdy obserwujemy przygotowania do wykonania zlecenia. Rys charakterologiczny bohatera poznajemy aż nadto dokładnie. W głównej mierze przesiąknięty jest nihilizmem i wyraźną niechęcią do wszystkiego dookoła. Poza głosem narratora słyszymy muzykę The Smiths, która wybrzmiewa jako podkład do



Plakat filmu

pracy Zabójcy. Trudno zarzucić niekonsekwencję twórcom, bo w dalszym biegu historii słowa znajdując odbicie w czynach, przynajmniej do momentu, gdy pewne wydarzenia nie każą wątpić w nie samemu bohaterowi. Można żałować jedynie tego, że ten głos nie wybrzmiał trochę mniej pretensjonalnie.

W słuchawkach naszego hitmana wybrzmiewa głos Morrissey'a, a nam w kolejnych etapach podróży towarzyszy soundtrack autorstwa Trenta Reznora i Atticus'a Rossa. Jeśli pamiętacie nastrój ścieżki dźwiękowej do „Zaginionej dziewczyny”, to również tutaj panowie instrumentalnie zabie-

rajają nas w podobne rejony i tylko wzmagają napięcie w odpowiednich miejscach. W innych z kolei dbają o właściwe emocje, które – niczym puls snajpera – niekiedy muszą spaść poniżej określonego poziomu. Muzyka jest jednym z najmocniejszych elementów tej produkcji i bez wątpienia zapadnie wam w pamięć.

Poradnik zabójcy dla opornych

Pomimo że historia jest raczej prostolinijna i skupiona na jednym wątku (przynajmniej z pozoru), to scenariuszowo film cierpi na pewną dozę braku konsekwencji. Zauważa się to tym bardziej, im bliżej końca. Po drodze Zabójca spotyka kilka osób zmieniających nieco perspektywę bohatera, które tylko potęgują pewne nieścisłości, trudne do wytlumaczenia ot tak. Zresztą można mieć parę zarzutów do ekspozycji tych epizodycznych postaci, które choć stanowią pewne tło, to niekoniecznie są wprowadzane do akcji w sposób odpowiednio transparentny, by zrozumieć ich znaczenie dla historii.

Cała fabuła, poprowadzona w powolnym tempie, ma kilka momentów, które powodują skos ciśnienia. Szczególnie scena domowego pojedynku z niejakim Brutalem została świetnie nakręcona. Ale to jedna z niewielu chwil bardziej żywiołowej akcji. Prawda bowiem jest taka, że ten film broni się i bez nich. Zagłębiając się w meandry myślenia serijnego zabójcy, Fincher pokazuje perspektywę zawodowca, która odbiega znacząco od wybuchających beczek i szybkich aut. Daleko „Zabójcy” do wybitnego „Siedem”, jednak i punkt widzenia się diametralnie różni. Swoisty poradnik hitmana nie jest idealny, ale potrafi przykuć do ekranu. O ile nie będziecie od niego wymagać cyrku na kółkach. Bo tytułowy bohater w takich warunkach nie pracuje. Jeśli to zaakceptujecie, to – o ironio – pierwsze spotkanie z nim w paryskim pustostanie nie stanie się waszym ostatnim.

Wiktor KĘPIŃSKI
wikkep@st.amu.edu.pl

„Francja, armia, Józefina”

Legenda. Wojownik. Symbol. Jest wiele słów, którymi można określić tego człowieka. „Napoleon” w wydaniu prezentowanym przez Ridleya Scotta pojawił się na ekranach kin 24 listopada i uznany został przez krytyków za porażkę reżysera. Czy rzeczywiście tak bardzo zawodzi? Czy aż tak mocno nie trzyma się historii?

W ostatnich latach obserwujemy dużą popularność dramatów kostiumowych – od „Amonitu” z genialną Kate Winslet, opowiadającego historię dwóch kobiet otoczonych przez skaliste wybrzeża Wielkiej Brytanii, przez kolejne nowoczesne adaptacje XIX-wiecznych powieści, aż do produkcji takich jak ta, opartych na życiu jednej osoby o znacznym wpływie. Przyjrzyjmy się więc bliżej opowieści o cesarzu Francuzów. Ostrzegam – jeśli jeszcze nie widzieliście nowego „Napoleona”, możecie znaleźć tu kilka spoilerów.

Francja i armia

Zacznijmy od samego początku – jest koniec XVIII wieku, dla narodu francuskiego czas wielkich i kluczowych przemian. Film rozpoczyna się sceną wręcz ikoniczną – Maria Antonina prowadzona ku gilotynie, a następnie poddana egzekucji ku uciesze tłumu, spośród którego możemy dostrzec naszego tytułowego bohatera. Już w pierwszych minutach mamy więc do czynienia z niedokładnością reżysera – podczas stracenia żony Ludwika XVI Napoleon przebywał w Tulonie, gdzie dowodził wojskami francuskimi.

Innym przykładem nieścisłości i odbiegania od prawdy historycznej jest chociażby kluczowa bit-

wa pod Austerlitz, tak niesamowicie i brutalnie ukazana na ekranie, mimo że w rzeczywistości nie była aż tak spektakularna. Prawda – żołnierze (ale rosyjscy, nie austriaccy) zmuszeni byli do odwrotu przez wojska napoleońskie i ucieczki po zamrzniętych stawach, ale zbiorniki te nie miały głębokości większej niż metr, a hodowano w nich wiedeńskie karpie. Filmowy obraz pokazuje nam ludzi topiących się wraz ze swoimi końmi, umierających w agonii w lodowatej wodzie, choć w rzeczywistości takich ofiar było dosłownie kilka. Kwestie techniczne też grają tu ważną rolę – żadna armata w tamtych czasach nie byłaby w stanie wystrzelić pocisku na taką odległość.

Na tym polu największym błędem Scotta było ukazanie Napoleona jako zbrodniarza, mającego w głębokim poważaniu zabytki innych kultur i jak gdyby nigdy nie strzelającego do piramid. Był on człowiekiem oświeconym, nie tylko wiedział, że „czterdzieści wieków patrzy na nas z wysokości tych pomników”, ale też postanowił zgłębiać wiedzę na temat kultury starożytnego Egiptu i zabrał ze sobą wielu naukowców francuskich, których badania dały początek egiptologii.

Józefina

Żona Napoleona z pewnością odegrała niebagatelną rolę w życiu cesarza Francuzów. Małżeństwo dwojga doświadczonych już przez życie ludzi opierało się na współpracy, niewątpliwie nie można nazwać go typowym związkiem tamtych czasów. Listy, które zachowały się do naszych czasów i były inspiracją dla twórców produkcji, są pełne namiętności i emocji, a nawet erotyzmu. Jednak kreacja aktorska Vanessa Kirby, odtwórczyni roli Józefiny Bonaparte, wydaje się zimna i pełna melancholii, a relacja z Napoleonem wręcz



Oficjalny plakat filmowy premiery w USA

toksyczna, budowana na wzajemnej zazdrości i obsesji ze strony męża względem obojętnej, zmanierowanej żony, tonącej w morzu kochanków.

Scena, w której obserwujemy rozwód pary cesarskiej, spowodowany bezpłodnością Józefiny i w konsekwencji brakiem następcy Napoleona, zdaje się być jedynym momentem, kiedy uwidocznione są emocje targające bohaterami. Pojawiają się łzy i ostre słowa, małżonkowie podkreślają, że ich rozstanie wynika ze względów formalnych, a nie jest spowodowane wygaśnięciem uczuć. Józefina zostaje sama, pogrąża się w smutku i odizolowuje od socjety. Od tej chwili więk-

szość scen z jej udziałem ma miejsce nad brzegiem stawu, gdzie kobieta wpatruje się w przestrzeń zamyślonym wzrokiem. Trudno nazwać ją femme fatale, choć mam wrażenie, że Scott próbował wykreować tę bohaterkę właśnie w taki sposób. Zupełnie niepotrzebnie. To ona zostaje porzucona, to ona umiera w samotności, a były mąż nie towarzyszy jej na łożu śmierci, mimo że ta nadal jest mu wierna. Jest to postać tragiczna, której potencjału twórcy nie wykorzystali.

Czy warto?

Odejdźmy już od błędów i wykorzystywania wydarzeń historycznych bardziej jako sugestii. Dostajemy długi film z ogromnym budżetem (200 milionów dolarów), pełen scen walki i przepychu, przedstawiający momenty, które zapoczątkowały przemiany społeczne i zachwiały pozycją europejskich monarchów. Brakuje rozwinięcia scen pałacowych, postacie drugoplanowe przemijają w zasadzie bez większego echa, a żeby w pełni zrozumieć ich znaczenie i kim właściwie są, trzeba by przeczytać niejedną książkę.

Nowy Napoleon jest filmem wartym zobaczenia, chociażby ze względu na genialnego Joaquina Phoenixa. W niektórych scenach wręcz staje się on Napoleonem i bez problemu można stwierdzić, że zna i rozumie tę postać. Produkcja pełna jest świetnie wykadrowanych ujęć, co zawdzięczamy Dariuszowi Wolskiemu, a bohaterowie momentami wydają się porozumiewać bez słów nie tylko między sobą, ale też z widzem. Czekaemy na wersję reżyserską, która ma trwać aż cztery godziny, z nadzieją, że tam pojawią się rozwinięcia niedokończonych i urwanych wątków. Jeśli nie chcecie wiernej lekcji historii i nie zależy wam na dokładnej kalce epoki, to jak najbardziej jest to film dla was.

Amelia OGRODOWCZYK
ameogr@st.amu.edu.pl

Roślinna reorganizacja pokoleń

Babskie zajęcie, zbędny dodatek do wystroju, forma rozrywki dla emerytów – są to jedne z wielu utartych stereotypów związanych z uprawą roślin doniczkowych. Czy nadal są one popularne wśród młodych ludzi? Kiedyś miłośnicy botaniki wykorzystywali czasopisma ogrodnicze do tworzenia mniejszych społeczności, którym przyświecał jeden główny cel – dzielenie się tajemną wiedzą roślinną oraz sposobami odpowiedniej pielęgnacji flory. Wraz z rozwojem technologii oraz stopniowym upowszechnianiem się internetu, naturalne środowisko wielbicieli roślin zaczęło przenosić się na fora internetowe. Wirtualni pasjonaci zieleni przetrwali do dzisiaj, jednak obecnie tworzą TikTokaową społeczność rośliniarstwa, w którą wyprowadził nas Konrad – znany na tej platformie jako: @kooondrat.

Zapewne twoim pierwszym skojarzeniem z zielenią w domowym zaciszu jest widok podlewanej rośliny mamy, przesadzającej je babci albo ucinającej szczepy cioci. W przestrzeni publicznej utarło się przeświadczenie, że jest to zajęcie zarezerwowane dla kobiet. W końcu to one, od zamierzonych czasów, były odpowiedzialne za pielęgnowanie ogniska domowego. Jednak obecnie można zaobserwować proces diametralnej przemiany pokoleniowej – zatracenia znaczenia ról płciowych, wzmocnienia równości kulturowej czy wzrostu swobody wyrażania emocji. To wszystko prowadzi do fundamentalnego pytania – czy nadal jest to „kobiecy” zajęcie?

Nasze społeczeństwo przywiązuje coraz mniejszą wagę do zainteresowań innych ludzi oraz ich sposobu życia. Pielęgnacja i uprawa roślin jest naprawdę pięknym doświadczeniem, dlatego polecam każdemu tego spróbować, niezależnie od jego wieku oraz płci. Sądzę, że coraz większa popularność roślin ma związek z kojącą i wyciszającą rolą roślin w naszym domowym ekosystemie. Dogłębne ich, przecieranie, podlewanie oraz obserwowanie jak się rozwijają pozwala odciążać stresujące sytuacje. Jest to istotna korelacja przez wzgląd na statystyki prezentujące stan zdrowia psychicznego wśród dzieci i młodzieży.

Korzystając z TikToka lub Instagrama zapewne miałeś okazję napotkać konto jakiegoś twórcy, którego treści polegają na pokazywaniu swojej kolekcji roślin, jej pielęgnacji, udzielaniu rad ogrodniczych czy dosłownym edukowaniu na ich temat. Jednak zdecydowana większość twórców nie tytułuje się mianem roślinnych edukatorów. Jak oceniasz swoje działania w mediach społecznościowych?

Ja po prostu lubię się dzielić swoją wiedzą, doświadczeniem, wliczając w to również swoje osobiste, uprawne niepowodzenia. Jeśli ktoś z tego skorzysta lub po prostu zechce mnie wysłuchać to mnie to uszczęśliwia. Zauważyłem, że coraz więcej moich odbiorców wchodzi ze mną w interakcje w komentarzach poprzez zadawanie pytań czy

rozpoczynanie dyskusji, co mnie bardzo motywuje do dalszego tworzenia treści.

Najczęściej rośliniarzami są osoby młode. Często nie korzystają one z nazw zwyczajowych, a z fachowego nazewnictwa łacińskiego. Ty również takiego nazewnictwa używasz. Skąd je znasz i dlaczego wykorzystujesz je chętniej od nazw zwyczajowych?

Skończyłem studia magisterskie z biologii ze specjalnością taksonomii roślin, także naukowa nomenklatura w języku łacińskim jest dla mnie czymś oczywistym, czymś czym posługiwałem i posługuję się na co dzień. Ponadto nazwy naukowe jednoznacznie wskazują nam konkretną roślinę czy grupę roślin. Natomiast nazwy potoczne czasami w różnych podaniach mogą wskazywać na inne rośliny lub być niejednoznaczne. Uważam jednak, że nazwy zwyczajowe warto znać.

Można zatem skłonić się ku stwierdzeniu, że uprawa roślin doniczkowych przeszła proces profesjonalizacji i jest przestrzenią, którą chętni odkrywają coraz młodszy, niezależnie od płci i kręgu kulturowego. Jednak skąd czerpać wiedzę na ten temat?

Większość informacji o pielęgnacji konkretnych roślin zdobyłem poprzez własne doświadczenie, sięgając m.in. do różnego rodzaju artykułów naukowych, które w rzetelny sposób przekazywały wiedzę na temat danej rośliny. Treści na TikToku tworzę od niedawna – nie chciałem mówić o czymś, czego jeszcze wystarczająco nie doświadczyłem.

Sądzisz, że doszliśmy do momentu, w którym flora domowa przestała być częścią aranżacji wnętrza, a zaczęła być stylem życia?

W ostatnich kilku latach zdecydowanie zwiększyła się liczba ludzi traktujących rośliny jako coś więcej niż dekorację wnętrza. Jest to pewnie spowodowane łatwiejszą dostępnością do bardziej egzotycznych i ciekawych roślin oraz ciągłym rozwojem social mediów, gdzie rośliny są często promowane jako mające znacznie większą wartość.

Widać to doskonale, w szczególności, gdy zerkniemy na wysyp wyników, które wyskoczą nam po wpisaniu frazy „targi roślin” w przeglądarce internetowej. Wydarzenia związane z wystawami i sprzedażą roślin cieszą się coraz większą popularnością, co pokazuje rozmiar pomieszczeń, które są do ich przeprowadzenia wynajmowane. Organizowane są zarówno eventy ogólne, jak i tematyczne, podczas których prezentowane są konkretne gatunki roślin. Byłem na kilku tego typu imprezach i mogę z przekonaniem powiedzieć, że cieszą się ogromnym zainteresowaniem. Tłumy ludzi, jakie widziałem na targach roślin, za każdym razem mnie zaskakują. Spotkamy tam zarówno prawdziwych roślinomaniaków jak i osoby, które przyszły po swoją pierwszą roślinę.

Każdy miłośnik roślin doniczkowych ma jakąś swoją własną, unikatową historię, która stoi za jego pasją. Czasem jest to nauka przekazywana z pokolenia na pokolenie, a czasem chęć dodania barw do otaczającego nas świata. Jak wyglądało to u ciebie?



Spoleczeństwo zmienia się na lepsze

Moja przygoda z roślinami zaczęła się od przeprowadzki w trakcie studiów. Chciałem ożywić jakoś niewielki wynajmowany pokój i padło na rośliny! Wszystko zaczęło się od niepozornego przekroczenia progu marketu budowlanego, który znajdował się nieopodal uczelni. Wyszedłem wtedy z aloesem, dracena i chamedorą. Niestety tylko ta druga jest ze mną do tej pory. Początkowo obiektem mojego zainteresowania naukowego były kregowce. Dopiero z biegiem czasu oraz dzięki ogromnym pokładom pasji przekazanej mi przez moich wykładowców, zacząłem intensywniej interesować się roślinami. Jestem im za to ogromnie wdzięczny. I tak z miesiąca na miesiąc stawałem się coraz częściej bywalcem wspomnianego marketu. Poza dużym wpływem studiów myślę, że moją roślinną miłość rozwinął również ogród mojej babci, który zawsze wyglądał jak wyjęty z okładki magazynu ogrodniczego!

Można powiedzieć, że rośliny znalazły specjalne miejsce w naszym życiu. Ponadto świat roślin przenika przez sfery publiczne tworząc społeczność, którą można określić mianem „przyjaznej rodziny”. Jak oceniasz tę rodzącą się społeczność?

Mam bardzo pozytywne odczucia względem tej społeczności. Należę do kilku grup zrzeszających roślinomaniaków i większość ludzi naprawdę z pasją i zaangażowaniem dyskutuje czy wymienia się informacjami. Ale oczywiście, jak wszędzie, zdarzają się jednostki trollujące czy wywyższające się swoją, nie do końca prawdziwą, wiedzą. Sam natomiast nie spotkałem się z negatywnymi komentarzami pod swoimi materiałami. Nikt nie miał problemu z tym, że jestem chłopakiem i tworzę takie treści.

Bartłomiej KOLANO
barkol9@st.amu.edu.pl

„Jałowość”, „utracona egzystencja”, „bezdeny marazm”, „bezkresny wstyd”, „absolutna bylejakość”, „apatia”, „nadwątlony dobrobyt”, „poszukiwanie sensu”. To tylko niektóre ze sformułowań, którymi przez ostatnie cztery miesiące jeden z czołowych polskich dziennikarzy sportowych – Tomasz Ćwiakata, tytułował filmy o poczynaniach polskiej reprezentacji na swoim kanale na YouTube. Trudno się z nim nie zgodzić – drużyna narodowa w 2023 roku prezentowała się poniżej wszelkiej krytyki.

Przez trzynaście lat, odkąd zainteresowałem się piłką, nie przegapiłem ani jednego meczu o punkty naszej reprezentacji. Śledząc poczynania polskiej kadry w tym roku poczułem coś, co jeszcze kilka miesięcy temu wydawało mi się niemal nieprawdopodobne – całkowitą obojętność.

Pocztówka z (nie)odległej przeszłości

W chwili, gdy zabrałem się za pisanie tego tekstu, od meczu Polaków w 1/8 finału Mistrzostw Świata w Katarze z późniejszym finalistą turnieju – Francją, wybił dokładnie rok. Za niecałe dziesięć minut mi-

W poczuciu totalnej obojętności

nie równo 365 dni od momentu, kiedy niepilnowany w polu karnym Piotr Zieliński stanął przed niemal stuprocentową okazją na 1-0. Nie twierdzę, że gdyby ją wykorzystał Biało-Czerwoni na pewno wygraliby tamten mecz. Chcę podkreślić, że wtedy podopieczni Czesława Michniewicza byli wśród ośmiu najlepszych drużyn w Europie i bez kompleksów walczyli o ćwierćfinał Mistrzostw Świata w Anglii.

Brzmi jak „Football fiction”? Być może, piszę o tym by ukazać kontrast. Dzisiaj nie jesteśmy nawet w gronie dwudziestu jeden reprezentacji, które mają zapewniony awans na Mistrzostwa Europy. Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko wysłać serdeczne myśli do Michała Probiezka, który zapewne już w pocie czoła (mam nadzieję) opracowuje taktykę na barażowy mecz Polaków z Estonią, by rzutem na taśmę zapewnić awans na Euro, na które podobno „nie dało się nie awansować”. Gdzie popełniliśmy błąd?

Najgorszy możliwy wybór

Do dziś nie mogę sobie uzmysłowić, co siedziało w głowie Cezarego Kuleszy, gdy z pełnym entuzjazmem zdecydował się zatrudnić na stanowisku se-

lekcjonera Fernando Santosa jako gwaranta zapewnienia naszej reprezentacji „atrakcyjnego stylu gry”. Możemy się domyślać, co siedzi w głowie prezesa teraz, kiedy ma świadomość, że najdroższy selekcjoner w historii PZPN, zarabiając ponad 500 tys. złotych miesięcznie więcej od swojego poprzednika okazał się kompletnym „niewypałem”.

Zgadzam się, że wcześniejsze zatrudnienie Czesława Michniewicza na to stanowisko było co najmniej kontrowersyjne, a metody taktyczne, po które sięgał, często były niewspółmierne do umiejętności i potencjału naszych piłkarzy. Trzeba mu jednak oddać, że choć kadra była pragmatyczna do bólu, nie zawodziła i w kluczowych momentach wykazywała się skutecznością.

Zwalniając Michniewicza, oddaliśmy drużynę narodową człowiekowi, który na wygranym przez Portugalię Euro 2016, na siedem rozegranych meczów w regulaminowym czasie gry, potrafił zwyciężyć tylko z reprezentacją Walii i zajął ze swoją drużyną trzecie miejsce w grupie z Węgrami, Islandią i Austrią. Zatrudniliśmy kogoś, kto mając do dyspozycji jednego z dwóch najlepszych piłkarzy wszechczasów w

swoim „prime”, prawie odpadł z zespołem, w którym czołowe role odgrywali Krychowiak, Jędrzejczyk i Pazdan. Natomiast podczas zeszłorocznego mundialu, dysponując czołowymi postaciami największych europejskich klubów, nie był w stanie doprowadzić do wyeliminowania reprezentacji Maroka.

Zdecydowaliśmy się na „fachowca”, który miał nauczyć nas „gry do przodu”, a przez całą kadencję nie potrafił uwolnić ofensywnego potencjału Portugalii, mając do dyspozycji najlepsze piłkarskie pokolenie tego kraju od lat. Po jego odejściu ekipa Cristiano Ronaldo, prowadzona już przez Roberto Martinezą, wygrała dziesięć na dziesięć rozegranych spotkań, strzelając w nich 36 bramek, a my zastanawiamy się, dlaczego coś poszło nie tak.

Nie twierdzę, że cała odpowiedzialność za brak awansu powinna spaść na Portugalczyk. Popelniający błąd za błędem polscy piłkarze nie sprawiali wrażenia specjalnie pomocnych, jednak decyzja o jego zatrudnieniu na stanowisku selekcjonera była całkowicie chybiona.

Przytłaczająca nijakość

To, że tegoroczne eliminacje w wykonaniu naszych reprezentantów były zenujące i zakończyły się

Wyjątkowy czas w Poznaniu

Podróż w dalekie zakątki świata bez wydawania fortuny? I to nie palcem po mapie? Jest to możliwe - wystarczy wybrać się do Lumina Parku, który zbiera odwiedzających w niezwykłą świetlną podróż. Grą świateł może zachwycić też Betlejem Poznańskie, które w tym roku znajduje się aż w dwóch lokalizacjach.

Największa atrakcja Lumina Parku to świetlne iluminacje, które podziwiać można z naprawdę bliskiej odległości. Przyciągają one, oprócz wyglądem, oczywiście tym, że wydają dźwięki i są interaktywne. Przechodzi się od jednych do drugich bardzo płynnie. Piękno tych rozmaitych instalacji gwarantuje niezapomniane wrażenia i ciągłą chęć powrotu. W Betlejem Poznańskim światło jest czymś nadającym klimat i przyciągającym ludzi. Na Jarmarku znajdują się liczne stragany oferujące tradycyjne ozdoby świąteczne, rękodzieło, produkty regionalne i jedzenie, w tym słodczyce. Można tam także znaleźć prezenty dla swoich bliskich oraz atrakcje dla najmłodszych i nie tylko. Diabelskie koło na placu Wolności, które powróciło po czterech latach nieobecności, i drugie – na terenie Międzynarodowych Targów Poznańskich, czekają na wszystkich szukających wrażeń i okazji do zobaczenia pięknej panoramy Poznania.

Co roku inaczej

Ważną kwestią jest to, że co roku Lumina Park prezentuje nam zupełnie inną wystawę. Dzięki temu możemy być pewni, że jeśli odwiedzimy to miejsce to tym roku, to zobaczymy coś zupełnie nowego. W 2022 przewodnią tematyką parku były filmowe postacie, co dawało szansę, by wrócić pamięcią do dzieciństwa (i nie tylko) i spędzić czas w towarzystwie ulubionych bohaterów. Było w czym wybierać – „Księga dżungli”, „Pocahontas”, „Park Jurajski”. Obecny rok pozwala nam zapoznać się z różnymi państwami oraz żyjącymi w nich w nich stworzeniami. Meksyk, kraje Afryki czy biegun północny – wszystko to można zwiedzić jednego dnia w cenie jednego biletu.

Jarmark bożonarodzeniowy co roku wygląda inaczej – zmienia się i wraca jeszcze piękniejszy. Dwie lokalizacje dają nam więcej możliwości, a świąteczna linia tramwajowa nr 24 z Górczyna na Aleje Marcinkowskiego, która kursuje pomiędzy nimi, pozwala mieszkańcom Poznania i turystom skorzystać ze wszystkich jarmarkowych atrakcji. Uroczyste otwarcie odbyło się w piątek 17 listopada. Impreza potrwa aż do 7 stycznia, co czyni to wydarzenie najdłuższym świątecznym jarmarkiem w nowożytnej historii miasta. Dla odwiedzających przygotowano wiele wydarzeń kulturalnych, między innymi koncerty i przedstawienia. Na uczestników czekają również dni tematyczne. Rodzinne środy skupiają się na najmłodszych i oferują spektakle dla dzieci, animacje i świąteczne warsztaty. Studenckie czwartki to czas na relaks w magicznym otoczeniu jarmarku z promocjami dla studentów, a także okazja do uczestnictwa w Christmas Silent Disco.



W Lumina Parku napotkać można niesamowite atrakcje

Czy warto?

To, że Lumina Park zachęca do odwiedzenia, jest niezaprzeczalne. Czy wobec tego prezentowane iluminacje są z roku na rok coraz lepsze? Bywalców tegorocznego i zeszłorocznego Lumina Parku zapytaliśmy o ich wrażenia: „Po raz pierwszy byłam tutaj w zeszłym roku i zakochałam się w świecie świateł. Było to moje pierwsze takie przeżycie, nie spodziewałam się, że będzie mi się aż tak podobało. A jednak, wróciłam! Iluminacje były pełne kolorów i oczywiście świateł. Pełno motywów tak zwierząt, jak i roślin. Drzewa mieniły się kolorami. Było magicznie!” – mówi Zosia. Wskazała również, że tegoroczne ilu-

minacje podobały jej się bardziej niż zeszłoroczne: „W 2023 iluminacje są jeszcze bardziej dopracowane. Nawet nie sądziłam, że to możliwe. Szczególne wrażenie zrobił na mnie balon, przy którym można zapozować. Zdjęcia wychodzą fantastycznie!” – dodaje. Wiktoria także nie szczędziła słów zachwytu: „Rok temu naprawdę ogromnie mi się podobało. Były to bardzo przemyślane i świetnie zaprojektowane iluminacje. W 2023 miejsce przekształciło się na jeszcze lepsze, dodano nowe atrakcje i zmieniono kilka starych. Każda z iluminacji miała niepowtarzalny urok, ale za jedną z moich ulubionych niewątpliwie uchodzić może Przystanek Afryka” – mówi.

Tłumy na Jarmarku również wskazują na atrakcyjność tego miejsca. „Uważam, że jarmark na placu Wolności jest o wiele przytulniejszy niż ten na terenie Targów, bardzo podobały mi się stoiska z rękodzielami” – powiedziała poznańska studentka. „Zdecydowanie jest to magiczne miejsce i warto odwiedzenia w tym wyjątkowym czasie” – mówili turyści z okolic Poznania. „Jarmark cieszy się dużym zainteresowaniem nie tylko ze strony turystów, ale również mieszkańców Poznania. Wiele z nich odwiedza to miejsce po pracy lub zajęciach na uczelni. Zimowa aura i padający śnieg sprawiają, że cieszymy się pięknym świątecznym klimatem jeszcze bardziej” – stwierdziła pani prowadząca stoisko na Betlejem Poznańskim już kolejny rok. Podkreśliła też, że klimat tworzą nie tylko światła i zimowa aura, ale także ludzie, z którymi współpracuje i dla których co roku wraca w to miejsce.

Na czym kieszeń?

Ceny niewątpliwie odgrywają ogromną rolę w codziennej studenckiej rzeczywistości. W przypadku Lumina Parku koszt skorzystania z atrakcji to 35 złotych za bilet normalny i 31 złotych za bilet ulgowy. W piątki, weekendy i święta koszt wzrasta do 39 złotych za bilet normalny i 35 złotych za bilet ulgowy. „Uważam, że bilety nie są zbyt drogie, ale cena jest zdecydowanie adekwatna do przeżyć. Myślę, że za rok przyjadę tu ponownie” – mówi Jakub, który odwiedził to miejsce również w zeszłym roku.

Na Jarmarku można skorzystać z wielu atrakcji, na które wejściówki można kupić w kasach zlokalizowanych przy nich. Bilet ulgowy na lodowisko na Międzynarodowych Targach Poznańskich kosztuje 17 złotych, a bilet normalny 20 złotych. Koszt wypożyczenia łyżew to 15 złotych. Pełną listę atrakcji można zobaczyć na stronie internetowej Betlejem Poznańskiego. Grzane wino kupimy za 18 złotych, przy czym kaucja za kubek wynosi 20 złotych. Grzaniec z rumem to koszt 25 złotych, a za bezalkoholową wersję zapłacimy 15 złotych. Jedzenie na jarmarku nie należy do najtańszych, a ceny często są podane za 100 gram. Na miejscu można zjeść wiele specjałów kuchni polskiej, ale też dania oferowane przez zagranicznych wystawców.

Zarówno Betlejem Poznańskie jak i Jarmark to atrakcje, które co roku przyciągają wielu odwiedzających. Nic w tym dziwnego – rozświetlają ponurą zimową rzeczywistość. Zwłaszcza przed świętami – warto to zobaczyć, usłyszeć i poczuć.

Agnieszka ŁUKASZEWSKA
agnluk7@st.amu.edu.pl
Karina SZYMCZAK
karszy24@st.amu.edu.pl

kompromitacją jest oczywiste. Przeróżający jest jednak fakt, że po ich zakończeniu wiemy jeszcze mniej, niż przed ich rozpoczęciem. Gdybym miał wskazać jakiś jedyne punkt, coś, co pomimo wstydlwych wyników udało nam się zbudować, nie potrafiłbym znaleźć żadnego. Ta kadra kompletnie nie potrafi znaleźć na siebie żadnego pomysłu.

O ile w przeszłości zawsze, nawet pomimo braku awansów (np. w przypadku eliminacji do MŚ 2014), można było z pełnym przekonaniem stwierdzić, że chociaż tym razem się nie udało, to kadra ma swój styl, robi postępy, zawodnicy nabierają doświadczenia, a sukcesy wydają się kwestią czasu, tak po zmaganiach Białe-Czerwonych w mijającym roku, można odnieść zupełnie inne wrażenie. Nie mamy swojego stylu, a nie dość, że przez cały rok nie zrobiliśmy żadnego kroku do przodu, trudno nie odnieść wrażenia, że konsekwentnie się cofamy. Jesteśmy całkowicie nijacy.

Niedyspozycja kapitana

Nie jest tajemnicą, że jedną z głównych przyczyn kiepskich wyników naszej reprezentacji jest słabsza dyspozycja Roberta Lewandowskiego. W gorszych momentach to on zawsze brał reprezentację na swo-

je barki i często prowadził nas do kluczowych zwycięstw i punktów, które nieraz były osiągnięciem ponad stan, o czym część kibiców zdaje się już nie pamiętać.

Kryzys lidera kadry trwa już nieco ponad rok. Pojawiał się w tajemniczy sposób, kiedy na dwa mecze przed mundialu piłka nagle przestała „kleić mu się do nogi” i zawsze wchodzić do bramki. Nie wiadomo, kiedy i czy w ogóle Lewandowski będzie w stanie się z tego kryzysu otrząsnąć i odbudować. Robert ma już 35 lat, być może powinniśmy po prostu przyzwyczaić się do jego występów na nieco niższym, niewybitnym, ale nadal dobrym poziomie i nie wymagać od niego tyle, co kiedyś.

Robert Lewandowski jest piątym na świecie (nie licząc mniej znanych zawodników piłki azjatyckiej) najskuteczniejszym strzelcem wszech czasów dla reprezentacji narodowej. Do wyrównania osiągnięcia Romelu Lukaku brakuje mu jednego, a do Ferencusa Puskasa dwóch trafień. Poza nimi częściej od „Lewego” trafiali już tylko Leo Messi i Cristiano Ronaldo.

Kiedy słyszę lub czytam, że ze względów sportowych Lewandowski powinien „oddać opaskę”, a trener powinien posadzić go na ławce albo w ogóle nie

powoływać na zgrupowania – dochodzę do wniosku, że jako naród naprawdę nie zasługujemy na nic więcej niż ekscytowanie się pojedynczymi trafieniami Andrzeja Niedzielana w barwach NEC Nijmegen w Eredivisie.

Nawet przy słabszej dyspozycji Lewandowskiego nie musimy wyrzucać go na śmietnik historii. To nadal podstawowy zawodnik FC Barcelony i czołowy strzelec La Liga. Możemy spokojnie spróbować poszukać na niego innego pomysłu tak, by zminimalizować pojawiające się ograniczenia i uwdatnić pozostałe atuty. Zamiast tego, część kibiców, poddając się emocjom, na siłę próbuje wyburzyć jego pomnik za życia i wyładowywać na nim swoje frustracje.

Nadzieja umiera ostatnia?

Po pierwszych meczach Michała Probierza w roli selekcjonera trudno nie odnieść wrażenia, że on także nie znalazł jeszcze swojego pomysłu na reprezentację. Nie można na pewno zarzucić mu braku starań – niektóre nazwiska, które pojawiły się w pierwszym składzie na mecze z Moldawią i Czechami były co najmniej niestandardowym wyborem. Być może trener uznał, że warto dać szansę nowym twarzom, które wcześniej nie odgrywały większych

ról w reprezentacji. Ja jednak uważam, że eksperymentalne wybory nowego selekcjonera w absolutnie kluczowych spotkaniach nie okazały się „strzałem w dziesiątkę”.

Być może to jednak jakimś cudem wypali – Lewandowski odzyska dawną dyspozycję, Jakub Moder wróci do formy po kontuzji i wygramy marcowe baraże, pojedziemy na Euro i znowu wrócimy do utęsknionej dyskusji o „siermiężnym stylu”. Jeśli tym razem nie wyjdzie – trudno. Jeśli nie potrafimy zwyciężyć z Moldawią, Czechami czy Walią, można śmiało przypuszczać, że nie pokonamy też Francji, Holandii i Austrii.

Choć nie mam wysokich oczekiwań, zakończę felieton optymistycznym cytatem z tweeta Marcina Najmana w kontekście polskiej reprezentacji, na którego się przed chwilą natknąłem – „Będzie dobrze. Po każdej burzy wychodzi Słońce”. Mecze barażowe nie będą łatwe, ale czy naprawdę Walia, Finlandia i Estonia to zespoły poza naszym obecnym zasięgiem? Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko poczekać do marca, by poznać odpowiedź na to pytanie.

Dominik JANICKI
domjan17@st.amu.edu.pl

Polak na drodze do F1

Dostać się do Formuły 1 nie jest łatwo. Wymagany jest nie tylko talent i dobre wyniki na niższych etapach, ale również odpowiednie wsparcie finansowe. Polacy od wielu lat zmagają się ze znalezieniem następcy Roberta Kubicy. Na horyzoncie pojawił się w końcu solidny kandydat – Kacper Sztuka.

Jak dotąd jedynym Polakiem w historii „królowej motorsportu” pozostaje Robert Kubica. Krakowianin startował w barwach kilku zespołów w latach 2006-2010 oraz w 2019 i 2021 roku. Z różnych powodów kolejni zawodnicy, których zapowiadano jako następców Kubicy, przepadli jako juniorzy. Teraz jednak spore szanse na wejście do Formuły 1 ma Kacper Sztuka, który dostał się do akademii jednego z czołowych zespołów F1 – Red Bulla.

Niespodzianka na konferencji

Informację o tym, że Kacper Sztuka dostał się do programu rozwoju młodych kierowców przedstawił nieoczekiwanie Peter Bayer, dyrektor generalny drugiego zespołu Red Bulla w Formule 1 – AlphaTauri, podczas konferencji z polskimi dziennikarzami 8 listopada. Oficjalne ogłoszenie Sztuki jako kierowcy programu juniorskiego nastąpiło 25 listopada.

Nie powinno być jednak zaskoczeniem, że Kacper otrzymał miejsce w Red Bull Junior Team po fantastycznym sezonie we włoskiej Formule 4. Sięgnął tam po tytuł mistrzowski, zwyciężając 9 z 22 wyścigów oraz pokonując drugiego Ugo Ugochukwu z przewagą 35 punktów. Dodatkowo Sztuka zdobył także tytuł mistrzowski w rozgrywanej w Hiszpanii Formula Winter Series, którą praktycznie zdominował wygrywając 5 z 8 wyścigów. Drugi w tej serii zawodnik, Gianmarco Pradel, do Sztuki stracił tyle samo punktów, co Ugochukwu we włoskiej F4.

W zdobyciu miejsca w akademii Red Bulla mógł też pomóc inny fakt. AlphaTauri, która w swoim zamierzeniu jest zespołem pozwalającym na adaptację do F1, jest sponsorowana przez Orlen. Bardzo możliwe, że również sponsorowany przez polski koncern petrochemiczny Sztuka został zareklamowany łowcom



Być może wkrótce za kierownicą podobnego bolidu zobaczymy Kacpra Sztukę

talentów Red Bulla, którzy nie mogli zignorować jego tegorocznych dokonań.

Nielatwa ścieżka

Kacper Sztuka ściganie ma we krwi, jest bowiem synem wicemistrza Polski w rajdowej grupie N z 2000 roku – Łukasza Sztuki. To właśnie ojciec zainteresował Kacpra wyścigami i opiekował się jego startami w seriach kartingowych oraz niższych Formułach, choć początkowo nie był zbyt pewien tego, czy syn powinien startować. Przekonał go ostatecznie ojciec Tymoteusza Kucharczyka, innego młodego polskiego zawodnika, który obecnie startuje w serii wyścigowej GB3.

Sztuka jednak zmagal się z tym samym problemem, który uniemożliwił wielu polskim zawodnikom dostanie się na wyższe szczeble motorsportu – brakiem pieniędzy. To właśnie problemy finansowe nieco spowolniły jego postępy, ponieważ nie mógł startować we wszystkich wyścigach i pozostał we włoskiej F4 przez trzy lata. Ostatecznie udało się przejechać pełen sezon, dzięki wsparciu między innymi Orlenu. Sam Kacper doświadczył również niebezpiecznej strony motorsportu, gdy w wyniku wypadku, jeszcze w latach kartingowych, stracił przytom-

ność. W reportażu Viaplay „Sztuka wygrywania”, ojciec Kacpra wspominał, że wypadek ten odcisnął piętno na młodym kierowcy, który przez 3 lata miał mentalny problem ze zbliżaniem się do innych zawodników. Teraz, gdy Sztuka otrzymał wsparcie Red Bulla, kwestia finansowa nie powinna stanowić problemu.

Twarda szkoła jazdy

Cieszyć może fakt, że mamy Polaka z nadziejami na wejście do Formuły 1 i to w topowym zespole. Dodatkowo akademie Red Bulla słynie ze skuteczności we wprowadzaniu kierowców do tego sportu. W obecnie liczącej 20 zawodników stawce „królowej motorsportu” aż 7 z nich było w pewnym momencie swojej kariery związanych z Red Bullem (4 z nich jest obecnie zawodnikami Red Bulla i AlphaTauri), bądź jego zespołem juniorskim.

Red Bull słynie także z czegoś innego – bardzo surowych ocen i wysokich oczekiwań względem swoich zawodników. Wielu przyszłych kierowców odpadało z programu nawet na etapie kartingu z powodu niezadowalających wyników, a sam Red Bull nie bał się zwalniać swoich kierowców nawet w środku sezonu. Pokazała to chociażby tegoroczna sytuacja, gdy przed GP Węgier AlphaTauri zwolniła słabo spisującego się Nycka De Vriessa, w zamian zatrudniając byłego kierowcę Red Bulla Daniela Ricciardo.

Oznacza to, że Kacper trafił do bardzo wymagającej akademii, która jednak daje największe szanse na awans do Formuły 1. Przed siedemnastolatkiem z Polski jeszcze jednak dość długa droga, zanim trafi na szczyty motorsportu. Najbliższe plany względem jego sportowej przyszłości powinny obejmować przede wszystkim starty w Formule 3, a później Formule 2 – te dwie serie wyścigowe są bezpośrednim przedsiönkiem Formuły 1. Ponadto wyścigi tych serii odbywają się na torach, na których startuje F1, co pozwala lepiej rozwijać talent zawodników i przygotować ich do startów w głównej serii.

Czy będziemy mieć drugiego Polaka w Formule 1? Teraz wszystko zależy od samego Kacpra, który musi się wykazać dobrymi wynikami i tempem, aby móc pójść dalej i być może zasiąść za sterami bolidu F1. Kibice czekają na następcę Roberta Kubicy i liczą, że to może być właśnie Kacper Sztuka.

Bartosz KABACIŃSKI
barkab1@st.amu.edu.pl

Przy świątecznym stole z koszykówką

Tegoroczne mecze najlepszej ligi koszykarskiej na świecie, które zostaną rozegrane w pierwszy dzień świąt zapowiadają się niezwykle ciekawie. Na parkietach pojawią się drużyny Stephena Curry'ego i LeBrona Jamesa, a to tylko wierzchołek emocjonującego wieczoru. Jeśli więc przy wigilijnym stole myślicie o rzutach zza łuku lub szukacie alternatywy dla „Kevina samego w domu”, to pamiętajcie – NBA czeka z otwartymi ramionami.

Świąteczny wieczór basketu rozpocznie się w Nowym Jorku o 18 (wszystkie godziny zostały podane zgodnie z czasem środkowoeuropejskim), gdzie popularni Knicks podejmą Milwaukee Bucks. Obie drużyny znajdują się w czołówce tabeli Konferencji Wschodniej i mają nadzieję na zakwalifikowanie się do fazy play-off. Następnie o 20.30 w słonecznym Kolorado Denver Nuggets zmierzą się z Golden State Warriors. Ich poprzednie spotkanie zakończyło się niewielką przewagą gospodarzy (108:105). Niewątpliwie reprezentanci San Francisco będą chcieli się odegrać za to wyrównane starcie. Widowiskowy wieczór zakończy się o 23 meczem LA Lakers z Boston Celtics. Celci polecą na Zachodnie Wybrzeże USA jako faworyci. Nic dziwnego, gdyż zajmują pierwsze miejsce w tabeli Konferencji Wschodniej. Zawodnicy z Miasta Aniołów grają w tym sezonie zdecydowanie poniżej oczekiwań. Jak pokazały jednak spotkania z Orlando Magic i Phoenix Suns, potrafią się zmobilizować na mecze, w których są skazywani na porażkę.

Pojedynek Dawida z Goliatem

Zespół Bucks podczas tej edycji rozgrywek jest jednym z faworytów do zajęcia pierwszego miejsca w tabeli Konferencji Wschodniej. Z drugiej strony Milwaukee zawodzą w kluczowych meczach przegrali już m.in. z Boston Celtics, bezpośrednim rywalem do mistrzostwa.

Pokrzepiająco na kibiców „Jeleni” może jednak działać współpraca duetu Antetokounmpo–Lillard. Grek przyzwyczaił nas do wysokich zdobyczy punktowych, natomiast świeżo sprowadzony Damian Lillard swoimi asystami stwarza możliwości dla pozostałych człon-

ków drużyny. Najlepiej świadczy o tym statystyka pokazująca, że Milwaukee tylko w jednym meczu nie przekroczyli bariery stu punktów. W przeciwieństwie do nich Knicks zdobywają mniej punktów, ale też mniej ich tracą. Za ofensywne aspekty Nowojorczyków odpowiada Jalen Brunson, który jest zarówno najsukcesywniejszym punkującym, jak i najlepszym asystentem. Ostatnie spotkania z Phoenix czy Miami to indywidualne popisy tego zawodnika. Punktował spod kosza oraz rzutami za trzy.

Na nieszczęście dla Knicks to Milwaukee mają asa w rękawie. Jest nim Brook Lopez, najsukcesywniejszy blokujący całej ligi, zaliczający średnio 2,8 bloku na mecz. Taki obrońca to idealna odpowiedź na indywidualizm i jednoosobowe akcje Brunsona. Choć na papierze starcie wygląda jak pojedynek Dawida z Goliatem, to na Knicks nie ciąży żadna presja. Zespół Bucks ma wiele do stracenia, Knicks mogą jedynie zyskać.

Świąteczko w tunelu

Golden State Warriors na dziesięć ostatnich meczów wygrali tylko trzy (stan na 2 grudnia), na dodatek w mało przekonujący sposób. Trudno jednak wskazać przyczynę tego stanu rzeczy. W San Francisco było tak od zawsze – Stephen Curry stale utrzymywał wybitny koszykarski poziom, a reszta zespołu starała się mu dorównać. Wyścigi Klaya Thompsona z Jordanem Poole'em o zbliżenie się do Stephena napędzały zdobycze punktowe przekładające się na wysokie zwycięstwa. Obecnie legenda GSW rzuca tyle oczek na mecz, ile dwaj pozostali najsukcesywniejsi zawodnicy razem wzięci. Defensywa również nie wygląda za ciekawie. Warriors w skali ligi znajdują się w dolnej części tabeli, jeśli chodzi o stracone punkty. Skoro więc w ofensywie nie brylują, a defensywa jest nieszczęlna, to jakie są nadzieje na play-off?

Świąteczkiem w tunelu okazuje się postawa Golden State w poprzednim meczu z Denver na początku listopada. Warriors odrobili dwunastopunktową stratę z pierwszej kwarty, a nawet wyszli na chwilowe prowadzenie. Ostatecznie przegrali to spotkanie trzema punktami, ale walka trwała do końcowej syreny. Być może znaleźli sposób na pokonanie przeciwników z Kolorado. Z całą pewnością będą chcieli odegrać się za tamtą porażkę. Natomiast u Nuggets po starciu – Nikola Jokić show. W większości meczów, w których Serb gra, zdobywa

on najwięcej punktów, a dodatkowo jego drużyna wygrywa. Ten zawodnik konsekwentnie pokazuje, jak ważną rolę odgrywa w Denver. Jeśli do świąt nie przydarzy mu się jakaś kontuzja lub wykluczenie z gry, to Golden State Warriors będą mieli twardy orzech do zgryzienia.

Brakujący element

Kadra Boston Celtics to zdecydowanie czołówka w lidze. Zawodnicy dopełniają się nawzajem, każdy jest odpowiedzialny za swoje zadania i realizuje je z sukcesami. Pomimo tego, że gra na parkiecie wygląda widowiskowo. Celci odbijają się od finałów jak od ściany. W przeciągu czterech lat dwukrotnie doszli do finału konferencji, ale przegrali z Miami Heat, a także raz do finału play-off, gdzie musieli uznać wyższość Golden State Warriors.

Obecny sezon może stać się przełomowy, ponieważ do duetu Tatum–Brown dołączył wieloletni reprezentant Bucks – Jrue Holiday. Celny trójkowiec okazał się brakującym elementem układanki idealnego składu. Po drugiej stronie barykady czekają LeBron i spółka. LA Lakers weszli w sezon dosyć ospale, lecz co jakiś czas pokazują, że nie należy ich lekceważyć. Spotkania z Magic i Phoenix udowodniły, że Lakers dobrze czują się w roli underdoga. „King James” nadal pozostaje nienadgrzyziony przez żąb czasu i w tym sezonie jego indywidualnym celem jest przebicie, mogłoby się wydawać, nierealnej bariery czterdziestu tysięcy zdobytych punktów w karierze. Lider Lakers świetnie współpracuje ze swoim wieloletnim kolegą z zespołu Anthonym Davisem, lecz miewają oni problemy z grą w defensywie. Często gubią krycie, więc przeciwnicy z łatwością wbiegają pod kosz, co często kończy się stratą punktów.

Nie wolno zapominać, że mecz Boston Celtics z LA Lakers będzie jedynym spotkaniem międzykonferencyjnym. Celci muszą przelecieć ponad pięć tysięcy kilometrów, co przekłada się na blisko siedem godzin podróży samolotem. Fizyczne zmęczenie podróży może zniwelować ich pozytywne atrybuty, natomiast Lakers mają po swojej stronie przewagę własnego boiska. Zdecydowanie warto zwrócić uwagę na ten mecz, gdyż zapowiada się jako najbardziej wyrównany podczas świątecznego wieczoru z koszykówką.

Filip SZYMKOWIAK
filszy10@st.amu.edu.pl